OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE

Prenumerata miesięczna zł. 1·95 z odbiorem w administracji

10 gr.

Rok V. Kraków, poniedziałek 3 czerwca 1935 r Nr 152

Zwołanie nadzwyczajnej sesji Sejmu i Senatu

celem uchwalenia nowej ordynacji wyborczej

Wczoraj w godzinach południowych przybył do gmachu sejmowego szef biura prawnego prezesa Rady Ministrów p. Władysław Paczoski i doręczył pp. marszałkom Sejmu i Senatu zarządzenia Pana Prezydenta Rzplitej treści następującej:

Zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej o otwarciu sesji nadzwyczajnej Sejmu.

Na podstawie art. 12, pkt. c) ustawy konstytucyjnej otwieram z dniem dzisiejszym sesję nadzwyczajną sejmu dla załatwienia następujących spraw: ustawy o wyborze Prezydenta Rzeczypospolitej, ordynacji wyborczej do sejmu i ordynacji wyborczej do senatu.

Warszawa, dn. 1 czerwca 1935.

Prezydent Rzeczypospolitej
(—) **I. Mościcki.**

Prezes Rady Ministrów
(—) **W. Sławek.**

Zarządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej o otwarciu sesji nadzwyczajnej senatu.

Na podstawie art. 12, pkt. c) ustawy konstytucyjnej otwieram z dniem dzisiejszym sesję nadzwyczajną senatu dla załatwienia następujących spraw: ustawy o wyborze Prezydenta Rzeczypospolitej, ordynacji wyborczej do sejmu i ordynacji wyborczej do senatu.

Warszawa, dn. 1 czerwca 1935.

Prezydent Rzeczypospolitej
(—) **I. Mościcki.**

Prezes Rady Ministrów
(—) **W. Sławek.**

Komitet naczelny uczczenia pamięci Marszałka

Pan Prezydent Rzplitej postanowił powołać pod swojem przewodnictwem komitet naczelny uczczenia pamięci Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego.

Pierwsze posiedzenie komitetu naczelnego w składzie osób, powołanych przez Pana Prezydenta odbędzie się na Zamku królewskim w Warszawie we czwartek dn. 6 czerwca.

OD ŚWITU DO NOCY

Bułgarska rada ministrów postanowiła zerwać z systemem monopolów, wobec czego monopol spirytusowy został zniesiony.

*

Plebiscyt w sprawie ustroju Grecji, mający dać odpowiedź na pytanie, czy będzie przywrócona monarchja, odbędzie się w drugiej połowie lipca.

*

Amerykański departament stanu wysłał do 13 państw notę, w której domaga się zapłacenia przypadającej dn. 15 czerwca raty długów wojennych, wynoszącej 180.899.701 dolarów.

*

Władze policyjne w Konstancy (Rumunja) aresztowały dwóch Żydów obywateli polskich, którzy usiłowali przedostać się w sposób nielegalny na statek odjeżdżający do Palestyny. Aresztowanych odstawiono na granicę polsko-rumuńską.

*

W dniu wczorajszym dokonano w Tsinanfu egzekucji 76 osobników, którzy wyspecjalizowali się w porywaniu ludzi, celem uzyskania okupu.

*

W Lille (Francja) po nadejściu pociągu pośpiesznego z Paryża skradziono z wagonu bagażowego 3 przesyłki, zawierające złote dolary amerykańskie i inne waluty ogólnej wartości 250 tys. franków.

*

Były premjer Flandin w najbliższych dniach zamierza wyjechać do swego majątku na rekonwalescencję.

*

Wczoraj rano na jednym z filarów kopalni „Silesia“ masy kamienia oderwane ze stropu przygniotły dozorcę kopalnianego 38-letniego Antoniego Koskę. Nieszczęśliwy górnik poniósł śmierć na miejscu.

30.000 osób zginęło podczas trzęsienia ziemi

Runęły dwa miasta w Beludżystanie — Wstrząsy ziemi były długie

SIMLA, (PAT). Trzęsienie ziemi w Beludżystanie ogarnęło bardzo szerokie połacie ziemi. Poza miastem Quetta katastrofa dotknęła oddalone ode o 25 klm. miasto Mustang, gdzie **ofiarą trzęsienia ziemi padło 5000 zabitych.**

LONDYN, (PAT). Ministerstwo lotnictwa donosi: Ofiarą trzęsienia ziemi z Beludżystanie padło 44 Anglików, w tej liczbie oficer-pilot, należący do brytyjskiego lotnictwa wojskowego w Indjach.

Agencja Reutera donosi z Quetty (Kwetty), że zginęło tam pozatem 30 Anglików.

Wstrząs ziemi był niezwykle gwałtowny wzdłuż toru kolei. Wiele ofiar jest pośród niższego personelu kolejowego. Pomiędzy Kalatem a Quettą zginęło 4/5 ludności, a wszystkie budynki są zniszczone. **Ogólna liczba ofiar trzęsienia ziemi dochodzi do 30 tysięcy.**

W zburzonem wskutek wczorajszego trzęsienia ziemi mieście Quetta wybuchł pożar, który, podsycany wiatrem, rozszerza się szybko, zagrażając rannym, znajdującym się jeszcze pod gruzami.

Oddziały ratunkowe podwoiły wysiłki, aby wydobyć tych nieszczęśliwych. Z Karaczi wyjechał do Qdetty pociąg, wiozący środki żywności, lekarstw oraz lekarzy i sanitarjuszki.

LAHORE (PAT.). Według dotychczasowych wiadomości, liczba ofiar trzęsienia ziemi w mieście Quetta wynosi 20 tys. zabitych. Zginęło 100 europejczyków, zaś około 200 odniosło rany. Miasto leży w gruzach.

Przybywający z nawiedzonego, klęską Beludżystanu mówią, że zwłoki ofiar grzebane są pośpiesznie, aby zapobiec szerzeniu się epidemji.

Wstrząsy wczorajsze, które spowodowały nowe spustoszenia i nowe ofiary w ludziach trwały przez 3 minuty, wstrząsy słabsze ponowiły się pomiędzy 3-ą nad ranem a 14-tą.

Liczba zabitych wzrosła, gdyż wiele osób zginęło tej nocy w czasie snu.

W dniu jutrzejszym rozpoczynamy druk drugiej serji sensacyjnych wspomnień o Marszałku Piłsudskim z dni chmurnych Jego życia p. t.

„Zamach na pociąg carski“

Traktować one będą o akcji bojowej pod Bezdanami, gdy przez rewolucjonistów zdobyta została kasa pocztowa zawierająca przeszło pół. miljona rubli

Rząd Bouissona składa się z 22 osób

Nowy gabinet jest bardziej lewicowy

PARYŻ (A.T.E.). Utworzenie nowego rządu przez Bouissona nastąpiło późną nocą. Nowy premjer cieszy się dużą sympatją i sądzić należy, że nie będzie miał specjalnych trudności.

Rząd Bouisson'a jest 89-tym gabinetem od chwili ogłoszenia Trzeciej Republiki, oraz 9-tym gabinetem od chwili istnienia obecnego parlamentu

Gabinet Bouisson'a składa się z 22 osób. W tej liczbie 21 ministrów i 1 podsekretarza stanu. Trzech ministrów nie wchodzi w skład parlamentu. Są to minister stanu marszałek Petain i ministrowie wojny gen. Maurin oraz lotnictwa generał Denain. 9 członków nowego rządu należało do gabinetu Flandin'a, 3 ministrów, a mianowicie minister pracy Frossard, minister emerytur Perfetty i minister zdrowia Ernest Lafont po raz pierwszy otrzymało teki.

Nowy gabinet jest niewątpliwie bardziej zorjentowany na lewo, aniżeli gabinet Flandin'a. Ustąpienie dotychczasowego ministra emerytur Rivollet, który był przedstawicielem byłych kombatantów, jest uważane jako protest przeciwko zamiarowi obniżenia rent inwalidzkich.

Nowy premjer Fernand Bouisson, który przez lat 8 kierował pracami izby deputowanych, uchodzi za wytrawnego i doświadczonego polityka. Nowy rząd przedstawi się parlamentowi w poniedziałek lub wtorek. Fernand Bouisson zażąda tych samych pełnomocnictw, których domagał się gabinet Flandin'a. Po uchwaleniu pełnomocnictw parlament zostanie odroczony, co nastąpi prawdopodobnie w dniu 9 czerwca.

Wybuch na statku

Na statku „Sowiecki Azerbeidżan“ wiozącym naftę z Krasnowodzka do Astrachania, nastąpił wybuch i pożar. Z pośród 25 członków załogi oraz 4-ch pasażerów uratowano zaledwie 2-ch marynarzy.

Mobilizacja trzech dywizyj w Italji

RZYM, (PAT). Podsekretarjat stanu do spraw prasy komunikuje: Częściowa mobilizacja sił zbrojnych abisyńskich i przybycie do Abisynji nowych transportów amunicji zmuszają do przedsięwzięcia nowych środków obrony dla bezpieczeństwa kolonij włoskich w Afryce wschodniej przeciw wszelkim atakom.

Szef rządu jako minister sił zbrojnych nakazał mobilizację dywizji „Aquila“. Nakazano też mobilizację dwóch nowych dywizyj czarnych koszul.

W ostatnich czasach do służby czynnej powołano wielu oficerów, podoficerów i żołnierzy fachowców z marynarki. Zwolnienie ze służby poborowych marynarki z 1913 r. odroczono.

Wszystkie zarządzenia mobilizacyjne wykonywane są w zupełnym porządku i bez żadnych incydentów.

Napad bandycki na posła Rzeszy

BERLIN (PAT). Poseł Rzeszy Niemieckiej w Bogocie (Kolumbja) padł ofiarą napadu bandytów w okolicach Bogoty.

Poseł jest ciężko raniony, ale niebezpieczeństwo życiu je[illegible] posłowi Rzeszy ubolewanie. Sprawcy napadu są ujęci.

Narady na Zamku

P. Prezydent R. P. przyjął w dniu wczorajszym p. premjera Walerego Sławka, który poin[illegible] pracach rządu.

Prochy Matki w drodze do serca Syna

Śmiertelne szczątki Matki Marszałka opuściły Litwę

PUSTYŁKI. (PAT). Wczoraj nastąpiło przewiezienie śmiertelnych szczątków, ś. p. Matki Marszałka Józefa Piłsudskiego, Marji z Bilewiczów Piłsudskiej z Sugint na Litwie do Wilna, gdzie spoczną w krypcie kościoła Ostrobramskiego św. Teresy do czasu złożenia ich w mauzoleum na cmentarzu na Rossie.

Na punkt graniczny Pustyłki, odległy o 42 klm. od Wilna, przez który przejedzie orszak żałobny, przybyli z Wilna, już przed g. 13-ą, synowie ś. p. Marji Piłsudskiej, pp. Adam, Jan i Kazimierz Piłsudscy oraz najbliższa rodzina.

Na drodze przed granicznym słupem, oczekuje przybycia żałobnego konduktu generalicja z inspektorem armji, gen. Dąb-Biernackim, gen. Skwarczyńskim, gen. Godziejewskim, gen. Przewłockim, przedstawiciele władz ze starostą pow. wileńsko-trockiego, p. Tramecourtem, prezydent Wilna, Maleszewski, dowódca K. O. P., brygady Wilno, płk. Ocetkiewicz, przedstawiciele korpusu oficerskiego garnizonu wileńskiego z dowódcami pułków legjonowych, stacjonowanych w Wilnie, przedstawiciele Związku Legjonistów, duchowieństwo.

W odległości 300 metrów od linii granicznej przed bramą z zieleni, na której widnieje portret Marszałka Piłsudskiego gromadzi się licznie ludność z okolicznych wsi. Po obu stronach drogi ustawiły się oddziały wojska, przybyłe z Wilna. Kompanja piechoty 1 p. p. leg., kompanja K. O. P. z brygady Wilno, szwadron 4-go pułku ułanów oraz baterja 1-go pułku artylerji lekkiej legjonowej.

Władze litewskie w osobie naczelnika powiatu i zastępcy jego oraz komendatn odcinka granicznego przybyli na granicę i poinformowali władze polskie, że kondukt wyruszył z Sugint o g. 13,45 i lada chwila jest spodziewany w Pustyłkach.

Wspomnienia o Marszałku z chmurnych dni Jego życia

Dramatyczna ucieczka ze szpitala

Upłynęły już cztery miesiące od chwili, gdy Piłsudski przyjechał do Petersburga. Pobyt w szpitalu pokrzepił jego siły, mocno nadszarpnięte głodowaniem w X-ym Pawilonie. Tem niemniej sytuacja nie była łatwa, tem bardziej, że musiał w dalszym ciągu grać rolę umysłowo chorego. Z niecierpliwością oczekiwał na ten zbawienny dzień, gdy wreszcie dr. Mazurkiewicz zaprosi go do swego gabinetu i poleci mu się przebrać w strój cywilny.

A dr. Mazurkiewicz bynajmniej nie zasypiał sprawy. Każdego dnia przychodził do szpitala z wypchaną teką. Natychmiast zamykał się w swoim gabinecie i dopiero wtedy wyjmował z teki poszczególne części garderoby. Chował je troskliwie do szafy. W ostatnim tygodniu w szafie wisiał elegancki jasny garnitur, lakierki, słomkowy kapelusz. Strój dla Piłsudskiego był gotów.

Jeśli Piłsudski był zdenerwowany oczekiwaniem niemniej zdenerwowany był i dr. Mazurkiewicz. Młody lekarz pragnął by cała ta sprawa należała do przeszłości. Pragnął z całej duszy, by Piłsudski wydostał się na wolność.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Kalendarz wskazywał 18 maja 1900 roku. Był piękny ciepły dzień. W tym to dniu dr. Mazurkiewicz miał dyżur w szpitalu.

— Jaki piękny dzień — myślał Mazurkiewicz idąc do szpitala. — Świetnie się składa. Dziś musi Piłsudski znaleźć się na wolności.

Rankiem tego dnia omówiono w hotelu ostatnie przygotowania. Sułkiewicz miał oczekiwać przed szpitalem, a Czarnocki w hotelu.

Znalazłszy się w szpitalu dr. Mazurkiewicz nie mógł ukryć silnego zdenerwowania. Chodził zrazu z kąta w kąt. Opamiętał się jednak. Zrozumiał, że jego stan może wywołać podejrzenie. To też w rozmowie z kolegami skarżył się na silny ból głowy. Nie odstępował od swych normalnych zajęć. Przyjmował chorych, badał ich i prowadził długie rozmowy.

Wreszcie wybiła godzina 8 wieczór. Energicznie zadzwonił. Wszedł sanitarjusz. Dr. Mazurkiewicz, nie patrząc nań, szorstko odezwał się:

— Proszę tu sprowadzić chorego, Józefa Piłsudskiego. Muszę go znów zbadać.

— Ten chory stale krzyczy, że jest głodny — rzekł sanitarjusz.

— No więc proszę go tu sprowadzić. Zaraz z nim pogadam.

Upłynęło kilka minut. Na progu ukazał się sanitarjusz trzymając za rękę Piłsudskiego. Więzień stawił opór i nie chciał wejść do gabinetu.

— No jazda — krzyknął groźnie sanitarjusz.

Piłsudski wszedł. Mazurkiewicz nie patrzał nań. Odezwał się do sanitarjusza:

— Proszę pamiętać, że pan ma dziś dyżur. Może pan teraz się przespać.

— Bardzo dziękuję, panie doktorze — po tych słowach uśmiechnięty sanitarjusz wyszedł z gabinetu.

Zaledwie sanitarjusz wyszedł, Mazurkiewicz po cichu zamknął drzwi poczem wyjął z szafy przygotowany strój i podając Piłsudskiemu nerwowo rzekł:

— Towarzyszu Wiktorze, proszę się ubierać.

Nie trzeba było powtarzać. Piłsudski po kilku minutach był gotów. Stanął przed lustrem i aż zdziwił się. Nie poznał siebie. Przyczesał tylko szczoteczką brodę. Mazurkiewicz drżał nerwowo. I znów opanował się. Otworzył szeroko drzwi i głośno odezwał się:

— Proszę wasze prewoschoditelstwo.

Przy tej okazji Mazurkiewicz zachowywał się tak, jakby był w towarzystwie wysoko postawionej osoby. Przy każdych drzwiach na korytarzu Mazurkiewicz stale głośno wypowiadał sakramentalne słowa:

— Wasze prewoschoditielstwo.

Służba otwierając drzwi żegnała uprzejmie doktora i była mile zdziwiona obecnością tak znakomitej osoby, do której doktór Mazurkiewicz mówi: „Wasze prewoschoditielstwo".

Weszli na podwórze. Słońce dawno zaszło i było dość ciemno. Obydwum uciekinierom serca niemal uciekały ze swych gniazd... Znaleźli się przed główną bramą. A oto słychać głos wartownika-żandarma:

— Panie doktorze, główna brama jest już zamknięta. Proszę uprzejmie przejść na drugie podwórze.

Mazurkiewicz zadrżał. Wszystko może być stracone. Na drugiem podwórzu mieszka służba. Wszyscy znają doktora Mazurkiewicza. Obecność drugiego, nieznanego jegomościa może wzbudzić podejrzenie. Co robić? Niebezpieczeństwo było istotnie wielkie. O tem, by prosić żandarma, by otworzył drzwi nie było mowy. Toby dopiero mogło wzbudzić podejrzenie.

Uszedłszy parę kroków Mazurkiewicz rzekł:

— Bracie jest źle.

Przeszli przez długie podwórze. W drodze spotkali żandarma. Podszedł blisko do doktora i w ostatniej chwili służbowo się cofnął:

— Bardzo przepraszam — odezwał się — nie poznałem pana doktora.

By ewentualnie nie wzbudzić podejrzenia, Mazurkiewicz uniżenie zwrócił się do Piłsudskiego:

— Wasze prewoschoditielstwo.

Żandarm otworzył drzwiczki, przepuścił wprzód „dostojnika" a potem poufale krzyknął:

— Dobranoc panie doktorze.

Gdy byli na ulicy, Mazurkiewicz głęboko odetchnął:

— Siedajmy do dorożki i jazda do hotelu.

— Ależ na nas czeka Sułkiewicz... — odezwał się Piłsudski.

— Niech czeka. Nie mamy czasu do stracenia. Sułkiewicz i tak się zorjentuje.

Wsiedli do dorożki. Dorożkarz otrzymał rozkaz szybkiej jazdy. Bo jak powiedział Mazurkiewicz:

— Wiozę chorego.

W pół godziny później w hotelu zebrali się Piłsudski, Mazurkiewicz, Sułkiewicz i Czarnocki. Czarnocki miał już przygotowany fałszywy paszport dla Piłsudskiego i mundur celnego urzędnika.

Tej samej nocy Piłsudski wyjechał do Kijowa, gdzie przebywał w ciągu pewnego czasu. Dopiero później wyjechał do Krakowa.

Miecz.

NA MAŁEJ WOKANDZIE...

Wojownicza dozorczyni

(A. E.) Gdy pani dozorczyni Grodecka wyszła wieczorem na podwórze, ujrzała dwóch młodych jegomościów, których wygląd wzbudził w niej uczucie niechęci.

— Czego panowie tu szukacie? — spytała.

— Szczęścia szukamy — odpowiedział jeden z przybyszów — pozwoli dobrodziejka, że się przedstawimy: ja się nazywam Józio Wlany, a to mój przyjaciel, na którego Jasio Urżnięty wołają.

W tem miejscu wlany Józio czknął rozgłośnie, czem wywołał płomienny gniew dozorczyni.

— A sio, łachudry! — krzyknęła. — Wynocha na cztery wiatry, łobuzerja, pętaki!

Józio rozpłakał się rzewnie.

— Nie płacz, Józiu — pocieszał go przyjaciel — nauczymy tę łachadojdę, żeśmy nie pierwsi lepsi. Szanowna hrabino — ciągnął, zwracając się do pani Grodeckiej — zostaniesz pokarana za swoje grzechy tem sposobem, że całe te pikne podwórko w jeden wielki śmietnik obrócimy!

Po tych słowach, młodzieniec pochylił się, wsadził dwa palce w usta i pojechał do Rygi. Zaś płaczący Józio, widząc, co się dzieje, dostał odrazu mdłości i poszedł za przykładem przyjaciela.

Dozorczynię aż zakłuło z oburzenia.

— Ażebyście swoich lat nie doczekali, łajdaki! — krzyknęła. — Muszę którego z was utłuc, bo inaczej sama tu ze złości trupem padnę!

I, pragnąc swe słowa wprowadzić w czyn, pani Grodecka zdzieliła zapłakanego Józia miotłą tak zamaszyście, że aż drzewce pękło.

Wówczas przyjaciele w obronie swego honoru poczęli okładać dziarską niewiastę kawałkami miotły.

— Masz, psiakrew! — mówił Józio przy każdem uderzeniu.— Myśmy nie śmiecie, żeby nas miotłą wymiatać!

Płakał przytem rzewnie i co chwila nos rękawem obcierał.

Awantura zakończyła się rozprawą w Sądzie Grodzkim (Oddział 8), przed którym waleczni panowie Józef Walczyński i Jan Opara stanęli, jako oskarżeni.

Ponieważ świadkowie zeznali, że pani Grodecka wogóle chętnie się czubi i przy każdej sposobności puszcza w ruch miotłę oraz języczek, przeto sąd obu oskarżonych uniewinnił.

Zabójstwo podczas zabawy

Jan Muras wraz ze swym przyjacielem, Mieczysławem Kowalskim, udali się pewnej niedzieli do restauracji w Ożarowie. Tam, po wypiciu kilku kieliszków wódki, Muras pokazał przyjacielowi nowo - nabyty rewolwer.

Doszło do manipulowania bronią, która zapewne w tym czasie, została odbezpieczona.

Gdy Muras kładł zpowrotem rewolwer do kieszeni, nastąpił wystrzał. Skutki jego były tragiczne. Kowalski, trafiony w czaszkę, nawet bez jęku osunął się martwy na podłogę.

Muras został postawiony w stan oskarżenia za nieostrożne spowodowanie śmierci.

Na wczorajszej rozprawie w warszawskim Sądzie Okręgowym z niepowstrzymanem łkaniem przyznał się do winy.

W toku przewodu sądowego, wyszło najaw, że Muras po stracie przyjaciela starał się przyjść z pomocą owdowiałej żonie jego i dzieciom, płacąc dobrowolnie po 100 zł. miesięcznie.

Powództwo cywilne, w kwocie 7.500 zł. tytułem alimentów dla siebie i dziecka, które ma dopiero przyjść na świat, wniosła wdowa po Kowalskim i powództwo to zostało odrazu przyznane przez oskarżonego.

Te okoliczności wpłynęły na to, że popierający oskarżenie prok. Różycki wnosił o zawieszenie oskarżonemu kary.

Sąd skazał Murasa na jeden rok więzienia, z zawieszeniem kary.

Wesoły Kącik

SWAT



Pan Jacenty Kozik ma biuro matrymonjalne.

— Muszę dbać o moralność — powiada — no swatać rodzaj męski z żeńskim.

Właśnie siedzi u niego kawaler do wzięcia pan Łazik.

— Już ja panu wyszukam kobitę, nie martw się pan. Przejrzyjmy najpierw sobie z parę ofert. No słuchaj pan uważnie:

„Panna z dobrze rozwiniętą mleczarnią chce wyjść zamąż. Lokal frontowy utrzymany luksusowo".

„Bezdzietna panna, z zawodu mamka, z odłożoną gotówką, przystojna".

„Wdówka z gotówką lub bez, ma dwie córki, z których jedna na wydaniu".

—Nie panie—mówi Łazik—na żadną z tych nie reflektuję. Ja mam duże wymagania. A więc przedewszystkiem moja żona musi być bogata, bo ja jestem goły, jak święty turecki; musi być ładna, bo jak pan widzi, ja pięknością nie grzeszę; powinna być też z dobrej rodziny, bo ja mam parę brzydkich sprawek na sumieniu...

— W porządku. Mam taką pannę, ale ma ona jedną wadę.

— Jaką?

— Od czasu do czasu zapada na umyśle.

— To głupstwo! Dawaj ją pan!

— Powoli. Musimy trochę poczekać.

— Na co?

— Aż zupełnie zidjocieje, bo przecież w przeciwnym razie nie zechce wyjść za pana zamąż.

— Takiś cwany — pomyślał sobie pan Łazik — kpiny sobie ze mnie braciszku robisz. Czekaj, to i ja zakpię sobie z ciebie. — Głośno zaś odezwał się:

— Żarty nabok panie Kozik. Ja chcę się przecież naprawdę ożenić. Biorę tę wdówkę z dwoma córkami, tylko pod warunkiem. Ja ją muszę zobaczyć całkiem bez ubrania.

— Zgadzam się i ona się zgodzi, bo jej pilno wyjść zamąż.

Na drugi dzień pan Łazik przyszedł o umówionej porze w umówione miejsce, gdzie już wszystko odpowiednio było przygotowane.

Stanął przed drzwiami i jął patrzyć przez dziurkę od klucza.

Patrzał pięć minut, dziesięć kwadrans, pół godziny, wreszcie zniecierpliwiony pan Kozik odciąga go nabok.

— No może już dosyć? — pyta — Zdecydowałeś się pan?

— Ależ skąd?

— No, dlaczego znowu?

— Widzisz pan ona ma piwne oczy, a ja do piwa wstręt czuję. Jeżeli się ożenię, to tylko z kobietą o niebieskich oczach

Nikodem Zdun.

Bezgraniczna naiwność ludzka

Zamierzał do echać do Argentyny, a stracił pieniądze w Warszawie

W dniu 10 lutego 1935 r. Gustaw Motzerski, wybierający się jako emigrant do Argentyny, zawiadomił IV komisarjat P. P., iż będąc tego dnia w restauracji przy ul. Zamenhofa Nr. 44, został zaczepiony przez trzech osobników, którzy, dowiedziawszy się, że wyjeżdża do Argentyny, zaofiarowali mu swą pomoc. Osobnicy ci przekonywali Motzerskiego, że jazda do Argentyny jest niesłycha nie uciążliwa.

— Będziesz pan sobie jechał jak król! My możemy panu załatwić to, że będziesz pan miał oddzielną kabinę z dywanami. Niech pan pójdzie z nami — my mamy sekretarza linji okrętowej, on dla nas wszystko zrobi.

Nieznający świata emigrant chętnie się zgodził i poszedł z nimi na klatkę schodową tego domu, gdzie „sekretarz" miał zamieszkiwać. Tam spotkali jakiegoś mężczyznę, który został przedstawiony jako „pan sekretarz".

„Sekretarz" z miną niesłycha nie poważną zażądał od Motzerskiego okazania pieniędzy.

— Muszę wynotować numery banknotów, — rzekł wtedy, kiedy kmiotek podrapał się w głowę z niedowierzaniem To przekonało Motzerskiego Po chwili w ręku „sekretarza" znalazły się 906 pesos argentyńskich i 340 zł. „Sekretarz" obejrzał banknoty, a następnie włożył do koperty i wręczył je Motzerskiemu, poczem śpiesznie oddalił się. Wraz z nim zniknęli, jak kamfora — protektorzy. Motzerski otworzył kopertę i zamiast swych pieniędzy znalazł w niej pocięte skrawki gazety.

Motzerskiemu okazano w Urzędzie Śledczym album zawodowych „farmazonów", „konsulów" i „sekretarzy".

Wśród nich Motzerski rozpoznał Abrama Dachesa, Icka Siemiatycza i Hersza Lubelskiego.

Dochodzenie wykazało, że Siemiatycz i Lubelski tego dnia pozostawali w więzieniu.

Przeciwko Dachesowi wytoczono akt oskarżenia i wczoraj zasiadł na ławie oskarżonych w warszawskim Sądzie Okr.

Okazało się, że Daches jest już 55 razy notowany, jako złodziej i oszust. Karany ostatnio w 1927 roku.

Wątpliwości co do rozpoznania Dachesa przez Matzerskiego, który w międzyczasie uzyskał środki na wyjazd i znajduje się obecnie w Argentynie, podniósł obrońca Dachesa adw. Lewin i wnosił o jego uniewinnienie.

Sąd Dachesa uniewinnił dla braku dostatecznych dowodów.

Matzerski wywiózł z kraju lekcję ostrożności, która mu za pewne przyda się i na obczyźnie.



Partyjny wyrok śmierci

Komitet wywrotowców płockich przed sądem

Tropieniem elementów komunistycznych na terenie Płocka odznaczał się wywiadowca policji, b. członek partji Wacław Zelma, który wywrotową robotę paraliżował po mistrzowsku. W łonie dzielnicowego komitetu partyjnego Zelma miał markę niebezpiecznego wywiadowcy. Chcąc pozbyć się z terenu niewygodnego prześladowcy — partja komunistyczna wydała nań wyrok śmierci.

Zgodnie z postanowieniem— Zelma padł w dniu 4 lipca ub. r. ugodzony kilkoma kulami.

W toku dochodzenia zostali aresztowani członkowie miejscowego komitetu dzielnicowego: Szmul Finkelstein, Szmul Kredyt, Tadeusz Dręgielewski i Marja Cynamon, którzy oskarżeni zostali o to, że nakłonili Jana Lendziona do wykonania zamachu na życie Zelmy.

Sąd Okr. w Płocku skazał Finkelsteina na 7 lat więzienia, Kredyta na 5 lat więzienia i Tadeusza Dręgielewskiego na 5 lat więzienia, zaś Cynamona uniewinnił. Innego zdania był Sąd Apelac. w Warszawie, który rozważywszy tę sprawę wczoraj, uznał winę oskarżonych za nieudowodnioną, uchylił wyrok I instancji i wszystkich uniewinnił.

Wyrok uczynił na zebranej licznie publiczności wielkie wrażenie.

Zaznaczyć należy, iż wykonawca wyroku Lendzion został prawomocnym już wyrokiem skazany na dożywotnie więzienie.

Zabójstwo po sporze o organki

Gdy niskie instynkty pchają do zemsty...

Ludziska skłonni są jakoś do wszelkich kłótni. Czasami wiodą spory niewiedzieć o co i poco? Wszędzie, gdzie się nie ruszysz, czy to w sklepie, czy w tramwaju — słychać obrzucanie się błotem... Oczywiście, jeśli taka kłótnia wyniknie wśród sfer o wyższej kulturze, to rzecz zrozumiała, ża kończy się zazwyczaj w do brym tonie; nie daj Boże, jeśli to ma miejsce wśród ludzi, zupełnie prostych. Wtedy obelżywym słowom niema końca, później stal sprężynowych nożyków zabłyśnie i... dramat połączony z obfitemi wyciekami krwi gotowy...

W dniu 27 września ub .r. około godz. 19-ej na dziedzińcu zagrody Wojciecha Piechotki (wieś Głuszew, pow. siedlecki), rozegrał się krwawy dramat. Syn Piechotki zwrócił się do towarzysza, niejakiego Marcina Walkowskiego, aby mu pożyczył organków, co tenże bez skrupułów uczynił. Trzeci zkolei towarzysz wspólnych zabaw, Władysław Kraczko, widocznie pragnął „uciąć" sobie obertasa na osobności, więc wziął tedy od Piechotki organki i udał się do mieszkania.

Ponieważ Kraczko nie pokazywał się czas dłuższy, przeto właściciel organków, Antoni Marcinkowski, zwrócił się do Piechotki:

— Gdzie są organki?

— Potrzaj tu, frajer — rzekł Piechotka — myśli jego kapuściana głowa, że mu je kto „spławi", albo ugryzie?!.

Od słowa do słowa, gwałtowna sprzeczka przerodziła się w bójkę. Widząc nadbiegającego na pomoc brata Piechotki, Edmunda, Marcinkowski dobył noża, wsuwając go w rękę Walkowskiemu. Ten ostatni chwycił podany mu nóż i zagłębił ostrze w jego piersi. Skutki były tragiczne. Edmund Piechotka padł omdlały na ziemię i przed nadejściem pomocy lekarskiej, życie zakończył. Śmierć nastąpiła wskutek zranienia serca.

Walkowski i Marcinkowski, stanąwszy przed sądem, przyznali się do winy. Sąd skazał obydwu po 4 lata więzienia; wczoraj zaś Sąd Apelac. w Warszawie wyrok zatwierdził.

Co mówią i piszą?

Choroba, która spowodowała zgon Marszałka — Dziewiąta rocznica wyboru prez. Mościckiego — Kryzys we Francji

O chorobie, z powodu której zmarł Marsz. Piłsudski, pisze obszernie dr. Tuchendler w „Kurjerze Porannym", podkreślając dużą bezradność medycyny w walce z rakiem żołądka, a to przedewszystkiem wskutek tego, że objawy choroby ujawniają się bardzo późno. O samym prze jawie raka pisze autor:

„Z głębokiem wzruszeniem i wielkiem zainteresowaniem przeczyta dziś czytelnik opis choroby, na którą cierpiał Marszałek i która spowodowała przedwczesny zgon naszego Wodza i Bohatera. Lekarze orzekli i na sekcji ustalono, że Marszałek cierpiał na raka żołądka. Ta okrutna dobrze znana i częsta choroba jest najpoważniejszą chorobą żołądka. Rak może rozwinąć się w najrozmaitszych miejscach przewodu pokarmowego. Najczęściej jednakże zdarza się w żołądku w jego ścianach, a jego najważniejszą właściwością jest to, że rozrastając się, stopniowo zwęża światło i utrudnia przejście przez nie zawartości. Pewnego dnia zwężenie staje się może tak wielkiem, że nic więcej nie przepuszcza".

W dniu wczorajszym minęła 9-ta rocznica pierwszego wyboru prof. I. Mościckiego na Prezydenta Rzplitej. Przy tej okazji „Express Poranny" stwierdza:

„Przy osobie Prezydenta Mościckiego, jako Prezydenta Rzeczypospolitej, skupimy się zarówno dlatego, że Konstytucja nakazuje nam łączyć z Jego osobą najwyższą władzę, jedyną i nie podzielną, ale również i dlatego, że widzimy w Nim duszę szlachetną, serce gorące, umysł wybitny, obywatela bez skazy i zmazy, jednego z najstarszych bojowników o wolność i jedną z najzasłużeńszych postaci naszego na rodu".

Kryzys we Francji jest przed miotem rozważań „Robotnika". Po stwierdzeniu, że rząd Flandina nie poprawił sytuacji gospodarczej Francji — „Robotnik" tak określa ostatnie przesilenie rządowe:

„Upadek Flandina, to znowu klasyczny przykład, potwierdzający, że kryzysy współczesne mają charakter, przedewszystkiem polityczny. Charakter ten ujawnił się nietylko przez sprawców paniki walutowej, ale też w tem, że większość Izby Deputowanych nie chciała udzielić Flandinowi pełnomocnictw z powodu braku zaufania do niego. Nowy Rząd, nieobarczony grzechami swego poprzednika, łatwiej uzyska od Izby pełnomocnictwa".

„Bractwa jednego kartofla"

ratują wieś polską od głodu

Z wielu stron kraju donoszą, iż tegoroczny przednówek na wsi zapowiada się niezwykle ciężko. W różnych okolicach państwa uboga ludność wiejska pozbawiona jest wszelkich zapasów kartofli i zboża, które umożliwiłyby jej przetrwać do nowych zbiorów.

W licznych gminach przyjmuje się inicjatywa jednego z księży proboszczów w powiecie jaworowskim (woj. lwowskie), który w parafji swojej założył organizację dobroczynną pod nazwą „bractwo jednego kartofla" celem niesienia pomocy ludności głodującej. Przez ofiary w naturze zamożniejsi gospodarze wspierają pozbawionych środków do życia współbraci. Akcja samopomocy wśród ludności wiejskiej zatacza coraz szersze kręgi.

Pod wpływem alarmujących doniesień o głodzie na wsi, centralne organizacje samorządowe wystąpiły do powiatów i gmin o natychmiastowe podjęcie przez samorządy akcji opieki społecznej na wsi. „Opieka społeczna wsi — brzmią słowa apelu — źle funkcjonuje, a w przeważnej części kraju zupełnie nie istnieje. Zanim ona powstała i rozwinęła się na dobre, zdjęła śmiercią nisławna. Zabiła ją nasza biurokracja, kryzys i nasza lek omyślność zdawania się na łaskę losu".

Znawcy stosunków wiejskich za zdania, iż wstawienie centralnych organizacji samorządowych jest spóźnione, o ile chodzi o rok bieżący. W czasie tegorocznego przednówka głodująca ludność wieiska skazana jest na dobroczynność i pomoc sąsiedzką.

Wielkie nadużycia w Gnieźnie

W Banku Kredytowym w Gnieźnie ujawniono nadużycia, popełnione przez urzędnika tegoż banku Steltera, który dopuścił się sprzeniewierzenia na ogólną sumę 18.630 zł.

Stelter, wziąwszy sobie za wspólnika kupca zbożowego Kasperskiego, sfałszował jego konto, ra które pobierał z kasy pieniądze na podstawie sfałszowanych książeczki czekowej.

Kasperski został aresztowany. Za Stelterem, który zbiegł, wysłano listy gończe.

Niezwykła afera kryminalna w Paryżu

Fabryka straszliwych gazów trujących

(m). Paryska policja kryminalna, a w jej szeregach najwybitniejsi detektywi głowią się nad rozwiązaniem niezwykłej zagadki.

W Paryżu ostatnio coraz częściej notowane są afery i najrozmaitsze przestępstwa, ale żadne z nich nie może równać się z poniżej opisanym wypadkiem.

Było tak, że jedną z willi w Paryżu zajmował jakiś rosyjski emigrant. Ogród, przylegający do willi został przed rokiem sprzedany przez Rosjanina Bułgarowi, który przedstawił się, jako George Eheda. Nowonabywca miał być rzekomo producentem filmowym. Okazało się jednak, że Eheda nic nie miał wspólnego z filmem, a tem bardziej z produkowaniem filmów.

Nie ulega wątpliwości, że George Eheda urządził na terenie ogrodu tajemnicze laboratorjum. Krytycznego dnia, o czem donosiliśmy w depeszach, nastąpił straszny wybuch, który spowodował, że w okolicy zatrzęsły się domy, a większość okien z hukiem wyleciała na ulicę.

Willa spłonęła doszczętnie, mimo, że pomoc przybyła w czasie. Pod gruzami willi znaleziono szereg zniszczonych, tajemniczych aparatów oraz flaszek z dziwnemi płynami.

Rozpoczęło się drobiazgowe dochodzenie, które zrazu nie dało rezultatu Dopiero ekspertyza płynu, ulawnionego we flaszkach wykazała, że mamy tu do czynienia z gazami trującemi. Sprawa nabrał rozgłosu. Policja starała się za wszelką cenę nie ujawniać szczegółów. Akcja ta jednak spaliła na panewce.

Opinja dowiedziała się, że nie mal w samem sercu Paryża wyrabiano trujące gazy. Niezwykła eksplozja w willi dawała przedsmak tego ewentualnego wybuchu, któryby miał miejsce, gdyby w willi znajdowało się więcej gazów. George Eheda znikł w tajemniczych okolicznościach. To jeszcze bardziej gmatwa sprawę. Nie ma punktu zaczepienia, a policja gwałtem pragnie uczynić z Ehedy jakiegoś warjata.

Wszyscy raczej widzą w Ehedzie szpiega. Ale powstaje znów pytanie: Do czego dążył Eheda? Istotnie nie ma odpowiedzi. Policja ma do rozwiązania zagadkę, ale bądźmy pewni, że jej się to nie uda.

OWOC GRZECHU

TRAGICZNE DZIEJE KTÓRE, WSTRZĄSNĘŁY CAŁYM ŚWIATEM

STRESZCZENIE.

Tadeusz i Irena hrabiostwo Wilniccy byli szczęśliwem małżeństwem, posiadającem dwóch synów bliźniaków: Jasia i Stasia. Bardzo lubiani w okolicy, mieli tylko jednego nieżyczliwego sobie sąsiada. Był nim doktór Rymkiewicz, lekarz okoliczny. Nigdy też go do siebie nie wzywali, korzystając z usług dalej mieszkającego starszego lekarza.

Hrabia Tadeusz musiał wyjechać zagranicę. Była wigilja Bożego Narodzenia. Dzieci bawiły się w śniegu. Wtem Jaś wpadł do przerębli. Z trudem go wyłowiono. Dawał słabe oznaki życia. Trzeba było czemprędzej zawezwać lekarza. Niewolno było tracić czasu na sprowadzenie daleko mieszkającego starszego lekarza, lecz zawezwać doktora Rymkiewicza. Tak też uczyniono.

Doktór Rymkiewicz dokonał szeregu zabiegów, poczem oświadczył że dziecku jest lepiej, ale zostanie ocalone tylko przy natychmiastowych dalszych energicznych zabiegach. Uzależniał je od straszliwego warunku. Oświadczył mianowicie, że kocha Irenę i pragnie ją posiąść. W innym wypadku zaniecha dalszego ratowania dziecka, które niechybnie umrze. Nic nie pomogło, prośby, ani błagania Ireny. Rymkiewicz stawiał sprawę na ostrzu noża: albo — albo...

Chcąc uratować dziecko, Irena uległa. Ale nieszczęśliwy wypadek spowodował śmierć Stasia jeszcze tej samej nocy.

Irena urodziła syna. Gdy dziecko miało lat sześć, upadło i ciężko się zraniło. Wezwano d-ra Rymkiewicza. Wilnickiemu podejrzane wydała się rozmowa Rymkiewicza z żoną, przy łóżku Stefka, gdy oddalił się na chwilę. Postanowił przeto wypytać synka o czem mówiła żona z doktorem.

Stefek powtórzył Wilnickiemu rozmowę Ireny z Rymkiewiczem. Wilnicki zażądał wyjaśnień od żony. Przyznała się do wszystkiego, wobec czego Wilnicki postanowił zgładzić Rymkiewicza w pojedynku.

Pojedynek się odbył. Rymkiewicz był ciężko ranny, ale wyzdrowiał. Irena z rozpaczy dostała obłędu, potajemnie uciekła z domu, pojechała do Warszawy i tu rzuciła się do Wisły.

Z Wisły ją wyłowiono. Oddano do Tworek. Tam była 20 lat, gdy nagle pielęgniarka Cesia dostrzegła, że Irena odzyskuje rozum.

Przeczucia jej nie myliły. Irena zbiegła z zakładu i niepoznana przez nikogo wróciła do stron rodzinnych.

Tymczasem Stefek został księdzem. Irena zgodziła się do niego za gospodynię. Jaś zakochał się w córce Rymkiewicza, Lilce i oświadczył się jej. Ta zwierzyła się a tem matce a potem i ojcu.

Rymkiewicz odmówił Lilce pozwolenia na ślub z Jasiem. Ojciec Jasia również sprzeciwił się temu małżeństwu.

Tymczasem w tych okolicach osiedlił się zamożny emeryt Kurcewicz. Trzymał duże pieniądze w biurku. Połasiła się na nie młynarzowa Hełzina, ta sama, która niegdyś w młodości po raz pierwszy poróżniła Wilnickiego z Rymkiewiczem. Zakradła się do pokoju Kurcewicza, gdy go nie było w domu.

Nie mogła wszakże znaleźć klucza od biurka i wogóle poszukiwała wspólnika. Nie zgodził się na to jej mąż, zgodził się natomiast doktór Rymkiewicz. Tymczasem Kurcewicz ciężko zachorował i umarł. Oboje wspólnicy zabrali się do dzieła. Znaleźli wszakże zaledwie parę tysięcy, które wzięła Hełzina i zakopała pod dębem. Podczas, gdy gospodarowali w gabinecie zmarłego, weszła służąca stara Maciejowa i złapała ich na gorącym uczynku. Rymkiewicz, w obawie, aby ich nie wydała, zadusił ją, a następnie powiesił na haku od lampy, aby upozorować jej samobójstwo, poczem uciekł. Hełzina została. Wnet zbiegli się ludzie, przyszedł wójt, zaczęło się śledztwo.

Poszlaki, że to nie było samobójstwa, ustalono dwie. Doktór Burski stwierdził ślady duszenia na szyi Maciejowej i odpowiednie zmiany wewnętrzne. Poza tem na biurku znaleziono papier, na którym były bezsporne ślady butów Rymkiewicza, z czego wynikało wyraźnie, że wchodził na biurko, aby powiesić Maciejową. Ale udowodnić mu tego niemożna było.

CZĘŚĆ III.

Sędzia śledczy Penkiel pomyślał sobie, że najlepszym sposobem uśpienia czujności nieznanego sprawcy będzie wydanie pozwolenia na pochowanie Maciejowej.

Rymkiewicz, jak wszyscy, zresztą, w okolicy dowiedział się o przybyciu doktora Burskiego do Małowa. Był przekonany, że Burski dokona bardzo szczegółowych oględzin zwłok. Wiedział też bardzo dobrze, że gdyby doszło do sekcji, nietrudno będzie ustalić, że Maciejowa została zamordowana.

To też, gdy dowiedział się również, że Maciejowa już jutro ma być pochowana, odetchnął z ulgą. Powiedział sobie:

— Burski, widocznie, nie dokonał sekcji. Z tegoby wynikało, że wierzy w samobójstwo. Jestem ocalony.

Jutrzejsze wizyty u chorych wolał odbyć dziś jeszcze.

Nie chciał przypadkiem nazajutrz zetknąć się z pogrzebem Maciejowej i Kurcewicza.

Wzdrygał się jeszcze na wspomnienie tej tak krótkiej, a jednak tak okropnej sceny duszenia.

Przez pierwsze noce nie mógł oka zmrużyć. Potem nawet, gdy się zdrzemnął na chwilę, dręczyły go ohydne zmory. Budził się nagle gwałtownie. Zimny pot spływał mu z czoła. Niekiedy nawet we śnie spadał z łóżka i budził się na ziemi, czy nawet pod łóżkiem, zupełnie, jakby chciał tam ukryć się przed męczącemi go upiornemi widzia dłami.

Dnie mijały bez ciekawszych wydarzeń.

Samobójstwo Maciejowej było jakiś czas sensacją okolicy i przedmiotem ożywionych rozmów, które stopniowo ucichły.

Wreszcie wogóle już o całej sprawie przestano mówić.

Sądząc z pozorów, możnaby pomyśleć, że Penkiel umorzył sprawę.

Tak wszakże bynajmniej nie było.

Rzecz się przeciągała tylko dlatego, że Penkiel postanowił działać przy pomocy zdolnych agentów wywiadowczych. Ponieważ nie było takich w miasteczku, porozumiał się więc z Warszawą i stamtąd przysłano mu zdolnych wywiadowców: Brodzika i Maledę.

Przybyli, porozumieli się z Penklem i nazajutrz już byli w Czartkowie.

Zjawili się tu oddzielnie, chodziło bowiem o to, aby utrzymać pozory, że są sobie wzajemnie zupełnie obcy.

Obaj mieli mniej więcej trzydziestkę, byli uznawani za czołowych wywiadowców do szczególnych zleceń i bardzo się ze sobą przyjaźnili.

Wytrzasnęli sobie odpowiednie ubrania, poczem rozeszli się każdy w swoją stronę.

Znaleźli sobie wszakże umówione miejsce, gdzie mieli się spotykać każdego wieczora o dziesiątej godzinie.

— Powodzenia — rzekł Maleda na pożegnanie.

— Nawzajem — odparł Brodzik.

I uścisnęli sobie ręce, że aż kości chrząstnęły.

Brodzik udawał, że poszukuje pracy, skierowując się do wsi, a Maleda do młyna.

Widzimy z tego najwyraźniej, że Penkiel bynajmniej śledztwa nie zaniechał.

Co Maleda zamierzał robić we młynie?

Zbadać sytuację, bo z opowiadań Penkla i zebranego materjału doszedł do wniosku, że Hełzina albo jej mąż jednak musieli ręce maczać w tej całej sprawie.

W jaki sposób i kto z nich, czy oboje? To właśnie należało zbadać i wyśledzić. I w tym celu właśnie tam się udał.

Zawrzeć znajomość z Hełzą nie było rzeczą trudną.

Oto jak Maleda zabrał się do rzeczy.

Gdy był młodym parobkiem, jeszcze przed wojskiem, także zajmował się z amatorstwa raczej, niż z potrzeby kłusownictwem. Umiejętnie zastawiał sidła i wyłapywał niekiedy w ciągu nocy całą zwierzynę, jaka się tylko pokazywała.

Penkiel powiedział Maledzie, że Łapiec jest zamiłowanym kłusownikiem.

Słysząc to, Maleda ucieszył się bardzo.

Rzekł:

— To świetnie. Szybko się z nim zaprzyjaźnię.

Wnet przybył do młyna.

Hełzy nie było. Zastał tylko jego żonę, zajętą właśnie ubijaniem masła.

Wszedł i ukłonił się ładnie, zapytując grzecznie:

— Szanowny małżonek nieobecny?

— A bo co? — zapytała Hełzina podejrzliwie — czego pan od niego chce?

— Gdy wróci, to mu powiem.

— Zna pana?

— Nie. Nawet mnie jeszcze w życiu na oczy nie widział. Jestem nietutejszy.

— Handluje pan może mąką?

Maleda roześmiał się.

Odrzekł:

— Nie... nie... Bynajmniej. Handluje owszem, ale... zającami — i pokazał sidła, przytroczone do pasa pod marynarką.

— Ha, no to niech pan poczeka... Tylko, że u nas już jest sporo takich...

— Ależ nie zrozumiała mnie pani... Ja sam nie łapię, tylko skupuję, a te sznurki to trzymam przy sobie na wszelki wypadek... jakby się miała akurat nadarzyć sposobność.

— Ach, to pan handlujący?

— Tak.

— Hm... I gdzie pan to sprzedaje? Aż w Warszawie?

— A tak. Po ile pan Hełza sprzedaje sztukę?

— Jak czasem... Złoty złoty dwadzieścia...

— Toż to zabezcen...

— Tak? — zapytała Hełzina, coraz bardziej zainteresowana, bo węszyła już jakiś grubszy zarobek.

— Tak. To prawie darmo.

— A pan... ile daje?

— Najmniej złoty pięćdziesiąt dotychczas płaciłem... A jak się trafiła sarna, to i ze cztery złote...

— To jakoś się porozumcie z moim starym.

Maleda z trudem powstrzymał uśmiech i rzekł tylko:

— Zgóry wiedziałem. Bo ze mną, jak z dzieckiem.

— A oto i mój stary — rzekła Hełzina.

Maleda wyjrzał na dwór. Nie ujrzał nikogo.

Zapytał:

— A skąd pani wie, że mąż idzie?

— Niechże pan posłucha...

Rzeczywiście zoddali słychać było, jak Hełza groził śpiewnie:

„A kto nie wypije...
Tego we dwa kije...
Łupu-cupu, łupu-cupu, tego we dwa kije..."

— To on tak śpiewa?

— A on...

— Piękny głos. Czy on tak śpiewa, aby gajowi mieli się na baczności?

— Nie. Zawsze śpiewa. Wesoły chłop jest.

— To dobrze. Zaprzyjaźnimy się. Ja też lubię śpiewać.

Łapiec wszedł do pokoju. Gdy ujrzał Maledę, stanął, jak wryty.

Hełzina wskazała na Maledę i rzekła:

— Ten pan przyszedł w sprawie kupna zajęcy.

— Tak jest. I nawet niekiedy sambym ich chętnie nałapał! — dodał Maleda.

— Ach, tak? To z pana kolega po fachu?

— Ano... troszkę... Sznureczki w każdym razie mam — rzekł, pokazując je.

Hełza spojrzał pogardliwie i bąknął nieufnie:

— Mieć sznurki to nie sztuka. Dopiero robota gada. Do lasu blizko. Pójdzie pan? Ja odrazu panu powiem, jak tylko okiem rzucę, czy pan co wart, czy nie. Lepiej byłoby iść do lasów małowskich, ale nie mogę, bo dałem słowo, że przez pół roku nie będę tam kłusował. Dziedzic małowski, coprawda, umarł, ale moje słowo jest słowem. Jedno z drugiem nie ma nic wspólnego. Ale możemy iść do lasów borowickich. Droga ta sama, a ostatecznie różnica nie taka znów wielka. No więc co? Idziemy?

— A chodźmy.

Poszli. Po trzech godzinch byli zpowrotem. Trzymali się pod rękę. Już byli przyjaciółmi. Hełza wyzbył się reszty nieufności. Zręczność Maledy, jego pewność siebie, a przytem pogodna wesołość ujęły Hełzę. Rzeczywiście, Maleda spisał się doskonale. Hełza chętnie mu to przyznał.

— Musicie zostać u nas na kolacji, Maleda — rzekł.

— Ano, jeżeliście tacy łaskawi, to nie odmówię. Owszem, nie powiem, wrąbałbym cośkolwiek.

— Czem chata bogata... Więc doprawdy chcecie mi płacić po półtora złotego za zająca?

— Chcę.

— I po cztery za sarnę?

— Oczywiście, ale za wyrośniętą. Bo jak mi przyniesiecie małego cielaka, że na nim będą tylko skóra i kości, to nie...

— E, gdzietam? Ja przecież znam się na towarze.

I znów mocno sobie uścisnęli dłonie.

Po kolacji poszli do Czartkowa. Potem do późna siedzieli w szynku. Maleda, oczywiście, narazie nawet słówka nie szepnął o zbrodni małowskiej. Łapiec mógłby odrazu coś podejrzewać. A tu chodziło o całkowite uśpienie jego czujności. Aby sobie go pozyskać, Maleda upijał się z nim, ile tylko mógł.

Poczem obaj zaczęli się przechwalać swoim głosem.

Maleda odrzekł:

— Bardzo lubię śpiewać. Znam chyba ze dwieście piosenek.

— Ja tam wcale nie liczę, ile znam piosenek — odparł Łapiec — tyle może, ile gwiazd na niebie, ile drzew w naszych lasach.

Poczem dodał, chełpiąc się kłamliwie:

— Ja jeszcze dwa razy w życiu żadnej piosenki nie śpiewałem. Coraz to śpiewam inną..

I zaczął śpiewać

Dalszy ciąg jutro.

KRZYK W NOCY

WSTRZASAJACE GROZA DZIEJE STRASZLIWEJ TAJEMNICY

STRESZCZENIE.

Inżynier Roman Larecki miał 25-letnią żonę Helenę i 7-letnią córkę Zofję. Latem mieszkali w jego willi w Milanówku. Pani Helena z córką była na wsi cały dzień. Roman zaś przyjeżdżał dopiero na kolację.

Pewnego dnia, akurat w dzień imienin córki, długo nie przyjeżdżał. Helena i Zosia, wyczekując go, ujrzały, jak ich sąsiad Kołowicz liczy wielkie ilości pieniędzy. Potem jakiś pan, z postaci do złudzenia przypominający Romana nagle wszedł do pokoju Kołowicza, napadł na niego i po krótkiej walce zamordował go.

Helena kazała Zosi przyrzec, że nigdy nikomu nie powie ani słówka o tem, co widziała i słyszała. Zosia przyrzekła. Wtem usłyszały, że Roman wraca. Zatrzymał się przed sypialnią żony:

Roman nie wszedł jednak do pokoju. Helena nie odezwała się, pomyślał więc, że śpi. Po chwili ona wraz z córką weszły do salonu. Roman siedział przy biurku. Wstał i ruszył ku nim.

Roman nie dostrzegł w mroku żony i córki. Nie podszedł do nich. Wziął rewolwer i chciał się zastrzelić, w ostatniej chwili wszakże cofnął się. Nazajutrz z rana Roman wrócił do miasta.

Tymczasem przychodząca sprzątać do Kołowicza stara służąca, stwierdziła jego zgon. Zawiadomiła o tem władze, które skrzętnie zbierały wszystkie poszlaki.

Helena zataiła wszystko przed sędzią śledczym. Lecz jej służąca wygadała się przed nim, opowiadając całą prawdę.

Wyniki śledztwa okazały się dla Lareckiego fatalne. Aresztowano go.

Okazało się, że Larecki kiedyś miał przelotny romans z mecenasową Janiną Czarnomską, która nagle poprosiła go o spotkanie w pilnej sprawie.

Poprosiła, aby pożyczył jej sto tysięcy na pokrycie osobistych długów w tajemnicy przed mężem. Uczynił to, ale potem zaprzyjaźnił się z jej mężem, nie chciał więc wznawiać zażyłości z jego żoną. Czarnomska poprzysięgła mu zemstę. Pomagał jej w tem ciemny typ Lutyn, który miał też zadawniony żal do Lareckiego i z tyłu był do niego łudząco podobny. Odesłali mu owe sto tysięcy z pieniędzy, zrabowanych Kołowiczowi przez jego zabójcę — Lutyna.

Sędzia śledczy zarządził konfrontację Lareckiego z jego żoną i córką, które na jego widok cofnęły się odruchowo...

Przez cały czas śledztwa uparcie twierdziły, że nic nie widziały i nie słyszały. Wobec tego Larecki też przestał się usprawiedliwiać, zapewniając tylko o swej niewinności. Helena rozchorowała się śmiertelnie.

Czarnomski postanowił bronić Lareckiego w sądzie. W tym celu odwiedził go w więzieniu i zadał mu szereg pytań, domagając się, zwłaszcza wyjaśnienia, kto dał Lareckiemu owe sto tysięcy. Larecki wzdragał się z odpowiedzią.

Milczał do końca. Milczała również Zosia, gdy ją na rozprawie pytano o szczegóły morderstwa. Heleny już nie można było badać, bo tymczasem umarła z rozpaczy.

Podczas, gdy Czarnomski wygłaszał przemówienie obrończe Lareckiego, doręczono mu list anonimowy, pisany ręką Lutyna. Czarnomski po przeczytanin tego listu, powiedział Romanowi, że wie już o zdradzie żony. Usiłował bronić go dalej, ale serce nie wytrzymało i... pękło.

Lareckiego skazano na dożywotnie więzienie. Po półtora roku zbiegł on z więzienia i dotarł do stryjostwa Heleny — Bernackich, którzy zaopiekowali się Zosią. Larecki postanowił zabrać Zosię i uciec z nią zagranicę, co też uczynił.

Wyemigrował z nią do Ameryki, zbogacił się tam, dostał dokumenty na nazwisko obywatela amerykańskiego Johna Rogersa i wrócił do Polski. Nikt go nie poznał, bo miał spalony policzek, podczas ratowania dziecka z płonącego domu.

Po powrocie do kraju wraz z Zosią, udał się w nocy na cmentarz w Milanówku, aby pomodlić się nad grobem żony. Wydawało mu się, że w mroku mignęła mu się Zosia. Pobiegł na dworzec, aby się przekonać, czy to rzeczywiście była ona.

Była to rzeczywiście Zosia, ale udało się jej tak zręcznie ukryć, że nie dostrzegł jej zupełnie. Wnet potem osiedlił się z nią na wsi niedaleko Warszawy w majątku Koziny. Nie wiedział, że z majątkiem tym sąsiadował Mieszków, dobra Czarnomskich. Osiedliła się tu wdowa po adwokacie Ludwiku Czarnomskim z dwoma synami: 24 letnim Pawłem i 22-letnim Ryszardem, młodym prawnikiem, spędzającym na wsi u matki każdą wolną chwilę. Obaj Czarnomscy zakochali się w Zosi. Ona odczuwała większą sympatję do Ryszarda, który kiedyś nawet zaskoczył ją śpiącą w lesie i pocałował w czoło. Ponieważ wszakże broniła się przed tą miłością, więc gdy ją prosił o przebaczenie za swój postępek odparła mu zimno, że nie ma za co i odeszła.

Gdy Zosia spojrzała za siebie, ujrzała Ryszarda, stojącego, jak osłupiałego wciąż na tem samem miejscu.

Rozrzewniło ją to. Oczy jej jawnie odzwierciadlały to wzruszenie, ale Ryszard był o wiele za daleko, aby mógł to dostrzec. Był nadal bardzo smutny. Mówił sobie:

— Obraziłem ją. Utraciłem moje szczęście. A jednak kocham ją. O, jakże bardzo ją kocham!

Podczas następnych dni Zosia odbywała jeszcze tylko piesze spacery i nie wychodziła po za granice parku. Wiedziała, że po ostatniej scenie Ryszard tak daleko nie będzie przychodził.

A tymczasem bywał niedaleko stąd. Błąkał się po najbliższych okolicach. Obawiał się spotkania z Zosią, a zarazem pragnął go gorąco.

Kilka dni minęło bez zmian.

Ryszard bardzo posmutniał, a i Zosia była niewesoła. Gdy się czasami uśmiechała, aby zwieść ojca i oddalić jego podejrzenia, bywał to jakiś śmiech wymuszony, nienaturalny i przykry nawet dla ucha.

Całkowicie opanował jej myśli ów młodzieniec czarnooki.

Broniła się zaciekle, ale cóż, kiedy było już za późno.

Larecki najwyraźniej dostrzegał, że dzieje się coś wielce osobliwego i coraz bardziej się tem niepokoił. Myślał, że może jest chora, troskliwie dopytywał się o jej zdrowie, ale zawsze go uspakajała, myląc trop.

Mówiła, że nigdy lepiej nie czuła się na zdrowiu.

Zapytywał:

— Więc może się nudzisz? Taka wciąż jesteś smutna ostatnio.

— Ależ, doprawdy, tatusiu, wcale się nie nudzę. Możesz mi wierzyć.

— Więc co się z tobą dzieje? Jesteś cała dziwnie jakoś zmieniona.

— Zapewniam cię, tatusiu, że nic mi nie jest.

— Może chcesz, abyśmy wrócili nastałe do Warszawy?

Drgnęła. Tak, to już jej nawet samej też na myśl przychodziło. Wrócić nastałe do Warszawy, byłby to niezawodny sposób na rozłąkę z Ryszardem. Wtedy byłaby pewność, że nie stykałaby się z nim na każdym kroku, przynajmniej, póki zostawał na wsi. Ale cóż? Wakacje zbliżały się do końca. Ryszard, zapewne, już lada dzień wróci nastałe do Warszawy. A w Warszawie Ryszard znajdzie sposób. Może telefonować. Może spotykać się z nią u wspólnych znajomych... Nie, jeszcze na wsi ostatecznie łatwiej jest od niego stronić.

Zdecydowała się więc. Zostanie tu.

Odpowiedziała więc ojcu:

— Nie. Wiesz, jak bardzo lubię wieś i tryb życia, jaki tu pędzimy. Raczej w Warszawie nudziłabym się bardzo.

Larecki nie nalegał.

I dotychczasowe życie trwało w dalszym ciągu.

Już przez dłuższy czas nie spotykała się z Ryszardem i nie mówiła z nim. Od owego dnia, gdy Ryszard prosił ją o przebaczenie na tarasie.

Wydawało się jej, że to już było bardzo dawno. Wogóle czas dłużył się jej straszliwie. Sama się przyłapywała na głębokich westchnieniach... Niekiedy nawet ukradkiem ocierały łzy, aby ojciec przypadkiem nie zauważył.

Gdyby przynajmniej znała kogoś, ktoby jej coś mógł zawsze o nim opowiedzieć byłaby to dla niej wielka ulga.

Ale kto? I w jaki sposób, aby nie budzić czyichkolwiek podejrzeń?

Wtem nagle przypomniała jej się Kaśka, żona dozorcy.

Pomyślała sobie:

— To prawda. Przecież Kasia go zna. Pójdę.

Gdy wreszcie się na to zdecydowała, ucieszyła się bardzo.

Odłożyła to wszakże do następnego dnia, a gdy nazajutrz już miała iść, jej piękna twarzyczka znów zmarkotniała.

Powiedziała sobie:

— Poco właściwie?.. W pierwszej chwili, owszem, będzie mi bardzo miło. Ale zato potem? Jeszcze gorzej... Więc może lepiej nie chodzić tam wcale?

A jednak wciąż na jej usta wypływało obecnie imię Ryszarda i sam dźwięk tego słowa stał się dla niej czemś upojnem i cudnem.

Ustąpiła więc głosowi serca i poszła.

Po pół godzinie już była w domu dozorcy ruin klasztornych.

Z rana był przymrozek. Nawet szron. Ale później słońce przygrzało, rozszarpując zasłonę ciemnych chmur. W południe było już nawet gorąco.

Pod pozorem malowania udała się znów do ruin klasztornych.

Gdy Kaśka ją ujrzała, powitała bardzo serdecznie i zawołała:

— Ależ już kawał czasu panienka do nas nie zaglądała! Czyżby panienka miała żal do nas, że stał się tu wtedy ten przykry wypadek?

— Gdzież tam, Kasiu? Przecież to wcale nie wasza wina.

— Niechże panienka będzie łaskawa usiąść. A może co podać? Kubek mleka?

— Nie, dziękuję...

— Mój stary mówił: „Z pewnością panienka z Kozin już do nas nie przyjdzie. Ojciec jej pewno zabronił. A szkoda! Taka piękna i młoda. A taka grzeczna!" Tak, proszę, panienki, choć tyle czasu panienki nie widzieliśmy, wspominaliśmy jednak panienkę bardzo często...

Dalszy ciąg jutro.

Załobny odzew polskiej fali

Żałobną służbę rozpoczęło radjo w tragiczną noc.

Krótki komunikat — a wrażenie na całe życie, aż do wypełnienia się naszych czasów.

Potem słowa Orędzia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Żadne jeszcze słowo na świecie nie wywołało takiego ogromu jednoczesnego bólu, jak owa pierwsza tragiczna chwila przez radjo.

Ale równocześnie z załamaniem się Narodu w bólu, szły z głośników i słuchawek słowa otuchy, że Prezydent na dwa opuszczone przez Wielkiego Marszałka stanowiska państwowe mianował następców i że nakazał Narodowi „Jego Testament" nam żyjącym przekazany przyjąć.

Proste, Dostojne słowa wywołały przez nikogo nienakazywany odruch przyrzeczeń, ślubowań i przysiąg — wytrwania!

Gdy się przegląda i czyta te stosy depesz, deklaracyj, przysiąg, te protokóły żałobnych zebrań, te listy dzieci, kobiet, starców, inwalidów, robotników, urzędników, te wzruszające dowody nieograniczonej miłości i hartownej woli, te właśnie, które stanowiły materjał żałobnych radjowych biuletynów nie można opanować uczucia dumy, że Wielki Wychowawca Narodu siał ziarno w zdrową glebę i że plon, jaki Ojczyzna z Jego pracy zbierać będzie, stanie się fundamentem potęgi.

Żałobne biuletyny Polskiego Radja szybko zmieniały swój charakter. Zmieniały z woli tych, którzy jak nigdy dotąd, nieustannie komunikowali radju swe uczucia.

Po raz pierwszy eter polski zadrgał uczuciami szarego obywatela Rzeczypospolitej, tego obywatela, który od poniedziałku wytrwale, bez przerwy i znużenia, z religijnem niemal uniesieniem słuchał głosu radja, niosącego jęk żałobnych dzwonów i twardy testament myśli Marszałka.

W poniedziałek 36 razy otwierało „Polskie Radjo" mikrofon, aby dać możność całej Polsce zaczerpnięcia oddechu w tej trudnej chwili. Zrozumiano przed mikrofonem, że cały Naród we wszystkich jego częściach, we wszystkich miejscowościach i na wszystkich ziemiach, domaga się całem napięciem starganych nerwów tylko i wyłącznie wiadomości o tem, jak Polska reaguje na ten wielki ból i jak postanawia znosić go ku chwale Ojczyzny.

Nadaliśmy 23 emisje prasowego dziennika radjowego i niezliczoną ilość komunikatów, odezw, apelów i rozporządzeń. Wszystkie rozgłośnie radjowe podawały telefonicznie do Warszawy reportaże ze swych miast i okolic, dzieląc się głębokim bólem w sposób prosty i bezpośredni. Ani jeden takt, ani jeden ton muzyczny, nie popłynął w tym dniu z anten polskich rozgłośni.

W drugim dniu Żałoby Narodowej przez program radjowy przewijała się złota nić myśli Marszałka. Co godzinę padały słowa: „Józef Piłsudski powiedział...". Odezwały się dźwięki dzwonu Zygmunta, który z Krakowa wzywał Marszałka na wieczny spoczynek.

O godzinie 21.00, uroczystą audycję żałobną rozpoczęło przemówienie b. premjera Janusza Jędrzejewicza, poczem recytowano wiersze Słońskiego, Czechowicza, Wierzyńskiego i Lechonja o Marszałku Piłsudskim. W części muzycznej tej audycji, nadało „Polskie Radjo" Chopina i Moniuszkę.

Tygodni całych nie wystarczyłoby na odczytanie depesz, odezw, apelów jakie napłynęły do P. R.

Pokolei tak, jak napływały do rozgłośni, płynęły na fali polskiej depesze biskupów, listy kondolencyjne organizacyj społecznych, uchwały Rad Gminnych i najmilsze Zmarłemu listy od dzieci.

„Niech Wanda i Jagódka będą spokojne — piszą dwaj chłopcy — jak dorośniemy będziemy zawsze bronić ich honoru".

Budujemy szkoły — zapewniają gminy. Składamy ofiary na krążownik imienia Marszałka — ślubują robotnicy. Wzywamy do stworzenia eskadry samolotów — apelują urzędnicy. Fundujemy stypendja, zaopatrujemy wdowy i sieroty, nadajemy nazwy ulicom i placom, wznosimy domy ludowe, i budujemy, budujemy, budujemy kopiec.

Bjuletyny żałobne były jedyną w swoim rodzaju manifestacją. Dawały pewność, że coś się w psychice polskiej przełamało, coś wyrosło i coś stało się trwałem.

„Wychowamy przyszłe pokolenia w idei Marszałka" — oto największe ślubowanie, jakich setki nadano w dniach żałoby.

PROGRAM RADJOWY

9.00 Sygnał czasu; 9.03 Pobudka; 9.06 Gimnastyka; 9.20 Muzyka; 10.05 Transmisja Nabożeństwa z Poznania; 11.57 Sygnał czasu; 12.15 Poranek muzyczny; 14.00 Muzyka salonowa; 14.35 „W porcie rybackim w Gdyni"; 15.00 „Nauczmy się rachować w gospodarstwie"; 15.22 „Przegląd rynków produktów rolnych"; 15.35 Utwory fortepianowe; 15.45 „Utrapienie z krowami"; 16.00 Mała Orkiestra P. R.; 16.40 „U źródeł potęgi"; 17.00 Koncert solistów; 17.35 „Łamigłówki" — dla dzieci; 17.50 „W teatrze" — odczyt; 18.00 Impresje muzyczne; 18.45 „Do jakiej szkoły kierować dzieci"; 19.08 Wiadomości sportowe; 19.13 Płyty; 19.45 „W księstwie biskupa—poety na Warmji"; 20.10 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce"; 20.15 „W godzinę śmierci"; 21.30 „Co czytać"; 21.45 Transmisja meczu motocyklowego Warszawa — Wiedeń; 22.00 Wiadomości sportowe; 22.30 Koncert muzyki polskiej; 23.20 Mała Orkiestra P. R.

Czerwiec
2
Niedziela
Marceliny

KRONIKA KRAKOWA

Wielkie nadużycia w Polskiem Tow. Handlowem

W Polskiem Towarzystwie Handlowem w Krakowie wykryto nadużycia na trzysta tysięcy złotych. W związku z tem aresztowano dyrektora P. T. H. Stefana Reichera.

Brat zabił brata

Mieszkańcy wsi Zimnodół, pow olkuskiego zostali poruszeni niesamowitą zbrodnią o... kromkę chleba.

Mianowicie Jan Mączka lat 18 będący bez pracy i na utrzymaniu swego starszego brata, Piotra, ukrajał dla siebie kromkę chleba. Piotr wyrwał z rąk Jana nóż i ze słowami, że go „objada", ugodził nim w przedramię brata z taką siłą, że ostrze weszło w ciało po samą rękojeść.

Nieprzytomnego z bólu i pławiącego się formalnie we krwi Jana, domownicy odwieźli do szpitala gdzie wyzionął ducha w ciągu kilku godzin.

Zazdrosny amant zamordował swoją najdroższą

Józef Poliszczuk ze wsi Smoligów, w pow. łuckim, obdarzył swemi uczuciami mieszkankę tej samej wsi, Olgę Tychniuk, lecz nietylko nie znalazł równego odwzajemnienia, ale „Olga ponadto wdawała się z innymi młodzieńcami wsi.

Zawiedziony Poliszczuk postanowił pomścić doznaną zniewagę i przebił Olgę Tychniuk nożem w okolicę serca. Ranna zmarła następnego dnia.

Tragedja porzuconej

W Wilnie na ul. Dominikańskiej w pobliżu hotelu Europejskiego zastała się jakaś niewiasta. Zatoczyła się i padła na chodnik bezwładna, przyciskając do piersi małe dziecko.

Utworzyło się zbiegowisko. Wezwano pogotowie ratunkowe które udzieliło zemdlonej pomocy.

Jak się okazało, była to dwudziestokilkuletnia Judyta Kleju sztejnowa z Warszawy. Mąż przed kilku miesiącami porzucił ją, znajdującą się wówczas w odmiennym stanie.

Nieszczęśliwa w poszukiwaniu męża przybyła do Wilna i tutaj zemdlała z wycieńczenia i głodu.

Zastrzelił posterunkowego

Komendant posterunku policji Wielgiem, przodownik Jarczyński udał się wraz ze st. posterunkowym Józefem Szymkowskim na nocną obławę, na którą zdążali każdy inną drogą.

W pewnym momencie Jarczyński w ciemnościach nocy spostrzegł zbliżającą się sylwetkę. W czasie pościgu za rzekomym przestępcą strzelił z karabinu do osobnika, który trafiony padł na ziemię z jękiem.

Kiedy Jarczyński zbliżył się do postrzelonego ku swemu przerażeniu stwierdził, że ma przed sobą swego towarzysza, post. Szymkowskiego.

Strzał okazał się śmiertelny i ranny pojicjant zmarł.

Proces komunistyczny w Krakowie

W dniu wczorajszym w sądzie okręgowym karnym rozpoczęły się III. roki sądów przysięgłych, które trwać będą do 13 lipca br.

Jako pierwszą rozprawę rozpatrywano sprawę Anatola Półgroszka i tow. która to sprawa była zasystowana w lutowej kadencji.

Poraz drugi zasiadł na ławie oskarżonych Anatol Półgroszek lat 27, stolarz, Stanisław Oleśiński, lat 25, ślusarz i Wacław Droździk, lat 25, bez zawodu, wszyscy oskarżeni pochodzą z Bochni, — gdzie brali czynny udział w rewolucyjnym związku komunistycznym.

Według aktu oskarżenia sprawa przedstawia się następująco:

W okresie od maja do sierpnia 1934 r., w Bochni, wszyscy trzej oskarżeni przez czynny współudział w rewolucyjnym związku pod nazwą „Komunistyczna Partja Polski' dążąca do wprowadzenia w Państwie Polskiem, drogą rewolucji komunistycznego ustroju radzieckiego i dyktatury proletarjatu, weszli w porozumienie z innemi osobami, w celu popełnienia przestępstwa określonego w art. 93 zmierzających przemocą do zmiany ustroju Państwa Polskiego.

Z końcem sierpnia 1934 roku w Bochni, w związku ze zbliżającym się w dniu I. VIII komunistycznego obchodu „Dnia Antywojennego", rozlepili w różnych punktach miasta plakaty, zawierające komunistyczne hasła i okrzyki, oraz płachtę czerwoną podobnej treści.

Rozprawa potrwa 2 dni.

Rozpr. przew. s. o. dr Stuhr, wot. s. o. dr Solecki i dr Kurzer, osk. prok. dr Garbaczyński, bronił adw. dr Schreiber, Zakulski i Skiba.

Rzeźnik pobił komisarza magistratu

Dnia 11 marca br. przybył niejaki Michał Trynka, lat 24, podmajstrzy mnsarski, zam. przy ul. Miedzianej 18, do magistratu w Krakowie, w celu otrzymania pewnych wyjaśnień.

Komisarz obwodowy Zbigniew Benedyktowicz udzielił Trynce żądanego wyjaśnienia.

Trynka niezadowolony z wyjaśnień, obraził słownie komisarza, następnie porwał za stojący obok stołek i uderzył komisarza krzesłem w głowę.

Wczoraj stanął Trynka przed sądem okręgowo-karnym w Krakowie, oskarżony o targnięcie się na komisarza.

Rozprawę odroczono, celem zbadania stanu umysłowego oskarżonego Trynki.

Rozpr. przew. s. o. dr. Bobilewicz, osk. prok. dr Dulęba.

Bandyta skazany na więzienie

Na terenie powiatu chrzanowskiego i w okolicy Libiąża Wielkiego grasował od dłuższego czasu nieuchwytany bandyta nazwiskiem Stanisław Waligóra lat 27, wyrobnik z Libiąża Wielkiego.

Waligóra pomimo młodego wieku stał się postrachem okolicznej ludności. Waligóra miał na sumieniu aż 11 napadów rabunkowych terroryzując ludność, która w obawie o swe życie oddawała swe ostatnie mienie.

Nieraz nie pomagało to, ranił lżej lub ciężej swe ofiary.

W roku 1934 Waligóra podczas obławy został przytrzymany i oddany w ręce sprawiedliwości.

Wczoraj stanął Waligóra przed trybunałem sądu okr. karnego w Krakowie odpowiadając za swe krwawe czyny.

Późnym wieczorem zapadł wyrok mocą którego skazano Waligórę na 7 lat ciężkiego więzienia.

Kompletowi sędziowskiemu przewodniczył s. o. dr. Zalipski, wotow. s. o. dr. Solecki i ś. śl. dr. Rogowski, osk. prok. dr. Szewczyk.

Dom nierządu przy ul. Rakowickiej

Na ławie oskarżonych w sądzie okr. karnym w Krakowie zasiadła wczoraj 81-letnia staruszka, Agata Pudełko, zamieszkała przy ul. Rakowickiej 1, oskarżona o czerpanie zysku z cudzego nierządu.

Według aktu oskarżenia tło sprawy przedstawia się następująco:

Oskarżona Pudełko mieszkająć przy ul. Rakowickiej 1 prowadziła dom nierządu, mając na mieszkaniu jako sublokatorkę dwie córy koryntu a to Marję Maidborską i Marję Posalę, które sprowadzały do swego pokoju mężczyzn w celu nierządu.

Oskarżona Pudełko za mycie łoża pobierała za ten nieczny proceder do zł. 5.

Ponadto skradła jednej z cór 26 zł.

Celem przesłuchania świadków rozprawę odroczono.

Rozp. przew. s. o. dr. Bobilewicz, osk. prok. dr. Duleba.

Pociąg przejechał złodzieja

Wczoraj nad ranem na krakowskim dworcu kolejowym w czasie przejazdu pociągu towarowego przejeżdżającego z peronu II do mostu kolejowego Warszawskiego na torze Nr. 4 zwrotnicy nr. 57, został przejechany przez pociąg nr. 280 Adam Witkowski, zamieszkały w Łagiewnikach, znany złodziej kolejowy.

Wezwany lekarz pogotowia ratunkowego stwierdził u Witkowskiego złamanie prawej ręki poczem przewiózł go do szpitala św. Łazarza na oddział chirurgiczny.

Dramatyczna miłość młodej żydówki

W parku obok gmachu Kuratorjum Szkolnego w Równem przy ul. Bandurskiego usiłowała popełnić samobójstwo przez wypicie kwasu solnego młoda dziewczyna Leja Starikówna, pochodząca z Łucka i zamieszkała tam przy ul. Włodzimierskiej 9.

Rozpaczliwy krok był smutnym epilogiem gorącej miłości dziewczęcia ze znanej i poważanej rodziny żydowskiej w Łucku do atlety cyrkowego Mikołaja Miśkowa z Tarnopola, po pisującego się w wędrownym „Luna-Parku". Starikówna poznała kochanka w czasie jego występów w Łucku i opanowana przemożną namiętnością porzuciła dom, przyjaciół i rodziców, aby dzielić z ukochanym trudy wędrownego życia. Rozczarowanie przyszło aż nazbyt szybko. „Luna-Park" rozbił swe namioty w Równem i tu Leja przekonała się, że dla kochanka była tylko chwilową zabawką.

Zrozpaczona targnęła się na życie. W ciężkim stanie została przewieziona do szpitala żydowskiego, gdzie walczy ze śmiercią.

Teatr miejski: popoł. „Trafika pani generałowej" wiecz. „Nauczycielkę".

Repertuar kin krakowskich

Adria. „Kwieciarka z Prateru" oraz „Flip i Flap".
Apollo „Świat idzie naprzód".
Atlantic „Dom Rotszyldów" i „Nowoczesny Robinzon Kruzoe".
Bagatela. „Amok" i rewja „Kraków w kwiatach".
Dom żołnierza „Nie będziesz kurtyzaną".
Muzeum „Królowe szybkości" i „Na tropie złoczyńcy".
Promień: „Pogrzeb ś. p. Marszałka Piłsudskiego".
Sokół „Precz z miłością".
Słonko: „Weronika".
Świt „Szaleńcy".
Sztuka. „Złodziej serc".
Uciecha „Poszukiwacze złota".
Wanda: „Kapitan Korkoran".
Zorza: „Zdobyć cię muszę".

Fotoplastikon Szczepańska „Togo Senacka „Wycieczka do słonecznej doliny Kenu".

Radjo

Kraków. G. 10.05 Nabożeństwo z Poznania 11.57 Hejnał 12.03 Transm. z Warsz. 12.05 Przegląd teatralny 12.15 Transm. z Warsz. 14.35 Transm. z Gdyni 15.00 Pogadanka regjonalna 15.22 Transm. z Warsz. 15.35 Muzyka 15.45 Transm. z Warsz. 17.20 Utwory Ravela 17.35 Transm. z Warsz. i Lwowa 19.08 Płyty 22.05 Koncert.

Nocny i dzienny dyżur aptek

Apteka pod Słońcem Rynek A—B 43, pod Eskulapem Gertrudy 1, pod Matką Boską Krowoderska 74, w Dębnikach Konopnickiej 3, pod Złotym Orłem Krakowska 9, Mogilska 16.

Apteka Podgórska Rynek 9

Dzienny dyżur aptek

Apteka pod Złotą Koroną Rynek gł. 22, pod Gwiazdą Florjańska 15, pod Opatrznością Karmelicka 23. Warszawska Aleja 29-go Listopada 17, pod Aniołem Dietla 76.

Apteka Podgórska Rynek 9.

Nocny dyżur lekarzy

Dr. Gradzińska Michalina Starowiślna 20. Dr. Eerschdörfer Ozjasz Dietla 58. Dr. Kapler Wiktor Legjonów 12. Dr. Zopoth Artur Rynek Klep. 5.

Hotelarz przed sądem krak.

Dnia 13 sierpnia ubiegłego roku zajechał do Krakowa Tadeusz Krasucki, który zamieszkał w domu zajezdnym przy Pl. Matejki 2, u Ewy Fischer.

Krasucki obawiając się by mu nie zginęły pieniądze oddał je w przechowaniu do właściciela zajazdu, a to książeczkę P.K.O. na kwotę 2.240 zł., gotówką 100 zł., 100 dol. am., segarek, papierośnice, wart. 300 zł. Krasucki kładąc się spać, powziol jednak jakieś podejrzenie, więc udał się do właściciela zajazdu by mu przechowane rzeczy zwróciła, ta jednak oświadczyła że rzeczy jego i gotówkę zabrał Alfred Wetstein, współwłaściciel hotelu.

Wobec takiego oświadczenia Krasucki udał się na komisarjat PP. i spowodował aresztowanie Wetsteina. Jednak przedmiotów skradzionych przy nim nie znaleziono.

Wczoraj odpowiadał Wetstein przed sądem okr. karnym w Krakowie za kradzież.

Rozprawę odroczono.

Rzucił krucyfiksem w sędziego po ogłoszeniu wyroku

Kazimierz Wierzchowski został w swoim czasie skazany za grę na ulicy w „trzy karty" na 8 miesięcy. Skazany po ogłoszeniu wyroku, podbiegł do stołu chwycił krucyfiks i rzucił nim w sędziego. Krucyfiks padł na podłogę i rozbił się. Wczoraj Wierzchowski skazany został przez sąd w Łodzi na 2 lata więzienia.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, Kraków, ul. Na Gródku 2 — Telefon 173-02 (od godz. 8—11 w poł.
CENY OGŁOSZEŃ: w Kronice krakowskiej cała strona 800 zł., pół strony 500 zł. wiersz mm. 50 gr. Drobne 15 groszy za wyraz
Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca Alfred Kwiatkowski Drukarnia „Monopol" Kraków Na Gródku 2 Telefon. 173-20